

że on, Gazma, gapi się na mnie tymi swoimi kameleonowatymi oczyma, skądś stamtąd, z wysokości, z dziczy kamienia, jak i on nieruchomy, pokręcony.

– Ale tak naprawdę...? – dopytywałem się Gazmy. – Co to było?

– Co?

– Musimy się umówić na poważną rozmowę. Nie masz chyba nic przeciwko? Nie chciałbym pominąć tak istotnego świadka.

– Oczywiście, oczywiście...

W tym momencie zupełnie już nie byłem ciekaw, co Gazma może mi mieć do powiedzenia. Obrzydzenie do niego, obrzydzenie do siebie; przeciwne wektory odepchnęły nas, wróciłem do stołów zewnętrznych.

Tu upolował mnie Telesfer. Magdalena Kleinert pogryzała leniwie jakieś egzotyczne owoce i tylko mrugnęła dla zaznaczenia, że też mnie zauważyła. Częstokroć uderza mnie sztuczność tych odziedziczonych po czasach dzięki biologii etykiet: przecież mózgowiec patrzy i słucha także oczyma i uszami nosicielki.

– Kiedy ksiądz odlatuje? – spytał Telesfer.

– Jeszcze nie mam potwierdzenia.

– Jak tam raport?

– A cóż to teraz ma za znaczenie? Potencjalne koszta rosną już niemal wykładniczo. No przyznaj się, tak naprawdę nigdy nie wierzyłeś w interwencję Kościoła. Po co była ta komedia?

– A jak ksiądz sądzi? Żartowałem sobie z księdza?

– Wszystko, co mi powiedziałeś i pokazałeś, to prawda; sprawdziłem. Czarna Wata, błysk gamma. Tylko ta gotowość

korporacji do partycypowania w kosztach przedsięwzięcia, jak się okazuje... Coś tu nie gra, panie Telesfer.

– Wie ksiądz, różne są korporacje.

Spojrzałbym mu prosto w oczy, ale przecież nie mogłem.

Magdalena dalej wgrzyzała się w soczysty owoc; uniosłem wzrok ku niebu, to znaczy przyćmionemu wewnątrzstazyjną jasnością straszemu kosmosowi. Wydało mi się, że zrozumiałem – i trawiłem teraz tę nową wiedzę.

– Szukaliście przykrywkę – mruknąłem. – Oczywiście atrapy. Ale kto zagwarantował fundusze?

– Jacy „my”, jacy „my”?

– Niedzielni spiskowcy. Nie do końca pewni, ale z mimo wszystko silną motywacją. W grę muszą wchodzić jakieś wartości niekomercjalizowalne, inaczej... Mhm? Panie Telesfer?

Zaśmiał się przez głośnik.

– Czy Kościół opiera się na wartościach komercjalizowalnych?

– Dlatego też wydawało wam się, że tu znajdziecie sprzymierzeńca.

– Mylnie.

– Mylnie.

– Kościół obchodzi tylko świętość Izmira.

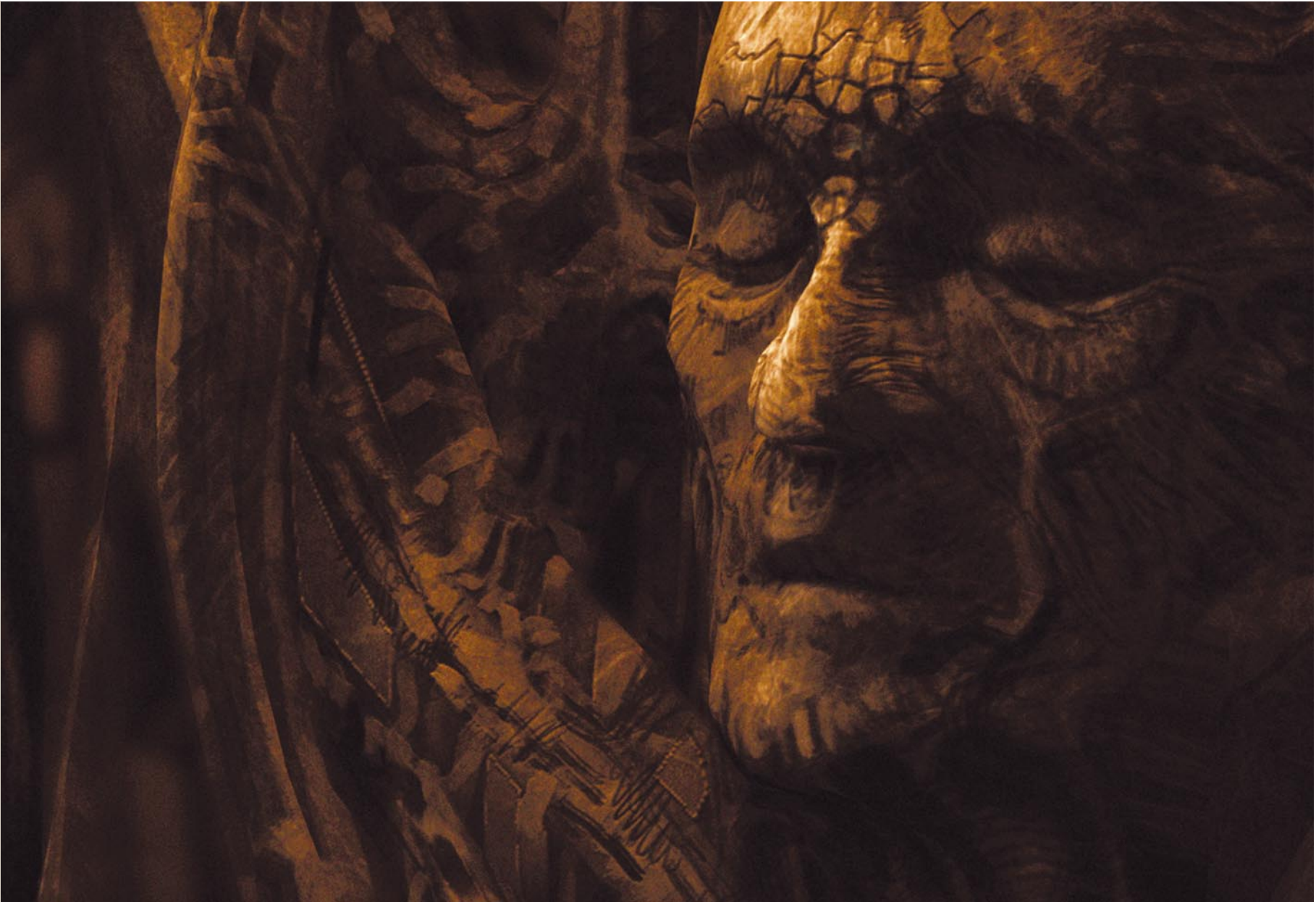
– Dokładnie.

– Kościoła nie obchodzą Boże Dzieci spod obcych słońc.

– Uch! Litości, panie Telesfer!

– No?

– To przestarzała sensacja, były już dwie encykliki, dawno zasymilowaliśmy możliwość.





- A pewność? Czy poradzicie sobie i z nią?
- Zejdźmy może na ziemię.
- Tupię. To jest ziemia. I wie ksiądz, co w niej.
- Fakty, panie Telesfer, fakty. Nic nie zostało dowiedzione.
- Dlatego właśnie...
- Kto? Wy? Więc kto właściwie? Kilkoro naukowców?
- Bo myśmy uwierzyli, Lavone.
- W co? W Watę?
- Mózgowiec nic nie odrzekł, odezwała się za to Kleinert.
- Bardzo się w to zaangażował. – Uśmiechnęła się melancholijnie.
- Żał mi go. Biedaczysko widział już swoje nazwisko w encyklopediach.

Relacjonuję tę rozmowę tak dokładnie, ponieważ przypuszczam, że Telesfer był tu już całkowicie szczerzy; a w każdym razie na tyle, na ile w ogóle to możliwe. Gdybym mógł podczas niej widzieć jego twarz, zrozumiałbym wszystko. Tak sądzę.

Widać Madeleine. Nawet z wnętrza Katedry, z wnętrza jej biostazy – strzelają tu do środka promienie soczystej purpury. Czekałem na Gazmę już pół godziny. Zdjąłem skafander i położyłem na pierwszej ławie, obok hełmu. Modliłem się chwilę; Gazma wciąż się nie zjawiał. Bezwiednie uniosłem głowę i jałem się przyglądać splątanim wnętrzościom Katedry. Uczucie nie było tak silne, jak opowiadał Mirton, ale i ja co setną myśl kierowałem ku labiryntom wysokich cieni z przeświadczeniem, iż

ktos, Gazma, przygląda mi się stamtąd. Podszedłem do samej granicy biosfery, by z bliska przyjrzeć się żywokrystnemu kamieniowi. Rzeźbienia były bardzo skomplikowane, jeden wzór przechodził w drugi, geometria przystających figur wiodła chciwie spojrzenie poza zasięg światła. Oczywiście to nie były rzeźbienia jako takie, nikt przecież nie ciosał, nie obrabiał kamienia Rogu. Z pierwszych ziaren poczęta forma rozgryzła była zimny grunt planetoidy i ruszyła falą nanoprzekształceń, aż cząsteczka po cząsteczce, wzniesiony tu został pomnik Ugerzowej wdzięczności. Ale ile może zostać zawarte w pierwotnych algorytmach ziaren, w architektonicznych kodach żywokrystu? Ta twarz – to była twarz, nie miałem wątpliwości – ta twarz i ta sylweta, i ten menisk kamienia, i nawis pustookich czaszek, i ten korowód na jelicie powyżej, na przeciągniętej wskroś łędźwi Katedry strunie ciemności, korowód chudych postaci, danse macabre nie ludzkich szkieletów, to wszystko przecież nie mogło się znaleźć w kodzie ziaren inicjujących; nie znam precyzyjnie ich pojemności, ale wydaje mi się nieprawdopodobne, by projektanci wpisali w nie przyszłe położenie każdej drobiny izmiraidowego minerału, zupełnie nie na tym polega żywoflanistyka ergodyczna, trzeba pozostawić wielkie pole chaosowi. Więc jeśli to nie projektantów ręka, nie ich sztuka – czyj zatem? kto rzeźbił? kto dał wdzięk kruchym aniołom, krwiożerczość łbom stalagmitowych demonów, ufudę płynności fałowym załamaniom wewnętrznej skóry Katedry, kto uczynił dzieło sztuki? Postanowiłem sobie przeczytać więcej o technologiach nanorodnych.





Wspiąłem się na oparcie ławy, z niej na kościaną wypustkę jednego z krzywych żeber Katedry. Tu, w połowie nawy głównej, spod powierzchni kamienia, jak przez grubą błonę zniekształcającą rysy, wyglądają, przebijają się – naturalnych rozmiarów głowy. Cienie spływają miękko po czołach i policzkach, przesunąłem dłonią, opuszkami palców – zimne, bardzo zimne, spierzcha się skóra. Oderwałem rękę w obawie, że jeszcze przymarznie, dopiero byłaby afera. Za gwałtownie, za gwałtownie! – to Izmiraidy, przyciąganie minimalne, lekkie odepchnięcie wyrzuca w górę na metry. Poleciałem płaskim łukiem, rąbnąłem plecami o barierę ochronną biosfery, trochę zamortyzowało; rzuciło mnie z kolei ku grobowi Izmira. Zdążyłem jeszcze złapać się jednej z ław, obróciło mnie w powietrzu, wyrzuciłem o posadzkę lewym barkiem, czaszka stuknęła o kamień, to się tak lekko teraz mówi, lecz wtedy byłem pewien co najmniej wstrząsu mózgu. Nie to, że odjęło mi wzrok, ale ból zdominował wszystkie zmysły, przesłonił świat. Mrugając, pomacałem się po głowie. Lepko. Dopiero po chwili zobaczyłem czerwień na palcach. Włosy mi się kleiły od krwi. Zataczając się, powlokłem się do skafandra. Włożyłem go, założyłem hełm, usiadłem i włączyłem diagnoster. Weszły we mnie mikrosondy. Kość nie pęknięta, ale długie rozcięcie skóry. Nie trafiło na znaczniejsze naczynia krwionośne, upływ krwi niewielki. Czekałem, aż przestanie mi się kręcić w głowie. Gazmy nadał ani śladu. Cholera z nim; przecież to niewątpliwy szalenciec, jak mogłem przypuszczać, że przyjdzie na czas, że w ogóle przyjdzie. Uch. Zapiekł, gdy skafander zasklepił ranę. Środki uspokajające zaczęły działać. Wróciłem do hotelu Honzla.

Zapiszę, jak brzmiały ich relacje.

Wasojfemgus, który siedział w łądowniku tuż obok mnie, mówi, że od początku się pocifem, denerwowałem i chciałem wyjść z powrotem. Kiedy zapowiedziano start, ponoć rzuciłem się biegiem do śluzy.

Kretcher, który miał mnie na podglądzie, twierdzi, że nie potrafiłem założyć sobie hełmu. Mają mi przesłać plik z tą sekwencją.

Z kolei ludzie z obsługi twierdzą, że musieli mnie schwytać i siłą odciągnąć, żebym się nie zabił, biegnąc na oślep po powierzchni Rogu.

Dwaj lekarze, McVine i Bedusadus, po przeanalizowaniu wyników badań orzekli doskonały stan fizyczny i psychiczny; w każdym razie bez wątplenia mieszczący się we wszelkich normach.

Ja nic nie pamiętam. Nie wiem, dlaczego uciekałem.

Mirton odlatuje jutro. Przyszedł do mojego pokoju i wypowiedział na głos moje własne strachy.

– Zdaje się, że to casus Gazmy. Symptomy się zgadzają. Co mówią?

Powiedziałem mu, co mówią. Westchnął – jakby się już litował. Zakląłem.

– Przecież ja muszę jakoś stąd odlecieć!

– Spróbuj jutro ze mną – zaproponował.

– A jak próbowali z nim? Znaczy z Gazmą...?

Odwrócił się od okna i zapatrzył na mnie z jakimś chorym pomieszaniem fascynacji i odrazy, nieśmiałości i bezczelności.

– Jak to się stało? Co ty właściwie zrobisz?

– Nic!

Nie wierzy. Podejrzewa, Bóg jeden wie co.

Z Gazmą było tak: Uśpili go i załadowali nieprzytomnego na łądownik. Łądownik wystartował i wtedy serce Gazmy przestało bić. Resuscytacja, stymulatory, ciosy adrenalinowe. Dopiero któryś z lekarzy spod kopuły skojarzył i kazał im wracać (mózgowiec, oczywiście; potem nie potrafił się wytłumaczyć z intuicji). Wylądowali z powrotem; z wielkim trudem reanimowali Gazmę. Biedak właściwie zaliczył śmierć kliniczną.

Nie jestem pewien, czy chcę się porywać na podobne eksperymenty. Ale przecież muszę jakoś wrócić na Lizonne! Madeleine wyrzuci Izmiraidy w pustkę pozaukładową, ciemność absolutną. Okno zamyka się szybko.

Przyszedł także Telesfer. To znaczy – przyszła Kleinert. Telesfer chciał wiedzieć to samo, co Mirton: co ja takiego zrobiłem. Nic! Czynił jakieś aluzje. Ten mózgowiec nie potrafi wypowiedzieć zdania bez opakowania go wiązką insynuacji. Cóż, ostatecznie tak właśnie funkcjonują ich umysły.

Porozumiałem się z biskupem. Irytująca rozmowa, zwłaszcza przy takim opóźnieniu. Zdaje się, że biskup Hauptert uważa, że się czymś tu zaraziłem. Ciekawe czym, miasto w kraterze sterylne od zarania, sam Róg nie posiada ni śladu atmosfery, nie wspominając o biosferze. Niemniej rozumiem biskupa, sytuacja jest delikatna, ostatecznie, czego nam trzeba, to śmierci duchownego na Izmiraidach.

Wyspowiadałem się.

